



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Bolesław Szymanik

Dziecko Zamojszczyzny

Pochodzę z Zamojszczyzny, z miejscowości Tarnogród, w której w 1939 roku zamieszkiwało ponad pięć tysięcy mieszkańców. Zamojszczyzna w latach okupacji wchodziła w skład Dystryktu Lubelskiego Generalnej Guberni, obejmującego powiaty: zamojski, tomaszowski, hrubieszowski i biłgorajski. W ramach Generalplanu Ost przewidywano zgermanizowanie wartościowego dla narodu niemieckiego elementu z tych terenów, część zaś miała pozostać siłą roboczą dla III Rzeszy. W tym celu utworzono Centralę Przesiedleńczą w Poznaniu z Oddziałem Głównego Urzędu Rzeszy do spraw Osadnictwa w Łodzi, Filię w Zamościu. Gdy Himmler w 1941 roku odwiedził Zamość, zachwyił się tym miastem. Na cześć twórcy Planu Wschodniego zwało się odtąd Himmlerstadt.

Już w listopadzie 1941 roku w ramach próbnej realizacji Planu Wschodniego i dla zdobycia doświadczenia, przeprowadzono próbną akcję wysiedleńczą, przesiedlając kilka wsi z okolic Zamościa. Właściwa akcja rozpoczęła się w nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku wysiedleniem mieszkańców wsi spod Skierbieszowa, a zakończyła w czerwcu 1944 roku. Łącznie podczas wszystkich akcji wysiedlono 297 wsi i osad – ponad 110 tys. ludzi, w tym około 35 tys. dzieci. Stanowiło to 31% ludności zamieszkałej na tym terenie. Znaczną część wywożono do niewolniczej pracy do Rzeszy, zawsze umieszczając wcześniej w specjalnie utworzonych obozach w Zamościu, Zwierzyńcu oraz na Majdanku. W początkowym okresie do Rzeszy wywożono młodych mężczyzn i kobiety, w późniejszym również i całe rodziny. Starców i niedołączonych wywożono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i Majdanku, a w późniejszym okresie do tzw. wsi rentowych w okolicy Puław. Na miejsce wysiedlanej ludności polskiej sprowadzano Niemców z Poznańskiego i Besarabii, krajów nadbałtyckich, z Jugosławii a nawet z ZSRR.

Rozpoczęcia II wojny światowej nie pamiętam, bo byłem jeszcze zbyt mały. Po raz pierwszy zapamiętałem żołnierzy Wehrmachtu w lecie 1941 roku, gdy wkroczyli do naszego domu i zajęli w nim dwa mieszkania wyrzucając nas z rodzicami do małej kuchni. Mama musiała im gotować dobre jedzenie, a my w tym czasie chodziliśmy głodni. Byli to oficerowie jednostki wojskowej, którzy szli na front wschodni – do wkroczenia na terytorium Związku Radzieckiego. Następne mocniejsze zdarzenie jakie utkwiło mi w pamięci miało miejsce 2 listopada 1942 roku. Była to akcja A-B, polegająca na likwidacji ludności żydowskiej. Rano zaczęto ich spędzać od zewnętrznego obszaru zabudowań do środka miasteczka, przy czym opornych i ukrywających się rozstrzeliwano na miejscu. Dla mojego i młodszej siostry bezpieczeństwa, abyśmy nie uciekli z mieszkania na zewnątrz i żeby nas Niemcy nie wzięli za Żydów, ojciec pochował nam ubrania i buty. Musieliśmy siedzieć w domu w piżmach. Siedząc przy oknie widziałem jak Niemcy gnali Żydów środkiem ulicy, jak przed naszym oknem

zastrzelono dwoje dzieci (chłopca i dziewczynkę), którzy próbowali uciec z tego tłumu, jak na sąsiedniej posesji zostało zastrzelonych troje starszych Żydów próbujących się tam ukryć. Obserwowałem jak wyznaczeni przez żandarmerii Polacy zbierali i zwozili wozami konnymi zastrzelonych na wyznaczone miejsce egzekucji. Łącznie w naszej miejscowości w dwóch miejscach zamordowanych zostało około 2000 Żydów (800 i 1200), a część została wywieziona do obozu zagłady w Bełżcu. Trzeba nadmienić, że po zegnaniu wszystkich na miejsce egzekucji, Niemcy zaczęli jeszcze przeszukiwać zabudowania Polaków, a za ukrycie Żydów groziła kara śmierci.

Drugą bolesną sprawą dla mieszkańców Tarnogrodu było wysiedlenie 30 czerwca 1943 roku ludności polskiej połączone z pacyfikacją i wywózką do obozów koncentracyjnych oraz na przymusowe roboty do III Rzeszy. To końcowy okres przeprowadzonych wysiedleń ludności w 1943 roku, tzw. „akcja specjalna”. O świcie 30 czerwca wojsko otoczyło całą miejscowość szerszym pierścieniem, tak że nikt nie wydostał się na zewnątrz. W godzinach 4-5 zaczęto wyrzucać mieszkańców z domów i spędzać na rynek zamknięty drugim pierścieniem żandarmerii. Ludność miasteczka liczyła się z możliwością takiej akcji, gdyż już wcześniej objęły one sąsiednie wsie. Dlatego też w rodzinie ustalony był plan działania w tym zakresie. Mama miała upiec dla nas wszystkich chleb, ojciec ukrywał i zakopywał niektóre wartościowe rzeczy na terenie posesji. Ja natomiast wyгнаłem naszą krowę z małym cielątkiem za zabudowania i puściłem luzno, gdyż dalej nie pozwoliła mi obstawa żołnierzy niemieckich, a po powrocie wyrzucałem z obory białe króliki rasy angora, które jeszcze do dzisiaj pamiętam. One chyba czuły, że coś się złego dzieje, bo nie dawały się wylapać i sporo się namęczyłem. Robiłem to po to, aby nie zginęły z głodu w przypadku nie zajęcia naszego gospodarstwa przez osiedleńców w ciągu najbliższych dni. Następnie zjawili się trzech mężczyzn – dwóch cywilów i wojskowy, którzy weszli do domu. Najwyższy wzrostem, w mundurze oficera, był uzbrojony. Cywile mieli jakieś opaski na ramionach i byli bez broni. Gdy weszli na podwórko, cała nasza rodzina stała przed progiem mieszkania. Oficer mówił po niemiecku, a jeden z cywilów tłumaczył to na język polski. Zapytał czy jesteśmy rodziną polską, co matka potwierdziła. Wówczas kazał nam natychmiast spakować swoje rzeczy osobiste do 10 kilogramów, zabrać je i udać się na rynek. Wychodząc z posesji jeden z cywilów zapisał na bramie kredą wielką literę „P”, po czym wszyscy trzej udali się do następnej posesji.

Matka zaczęła bardzo głośno płakać. Ojciec pakował w chustkę niezbędne jego zdaniem rzeczy osobiste, w tym ciepłą odzież, chociaż było lato. Ponaglał przy tym mamę, która mnie i mojej młodszej siostrze zawiązała na plecach małe pakunki. Zapakowała do nich bardzo gorący bochenek chleba, dopiero co upieczony i po małej butelce mleka, a prawdopodobnie jeszcze troszeczkę masła, które pod wpływem ciepła roztopiło się. Za chwilę weszli następni żołnierze i wypędzili nas na ulicę, nie pozwalając zabierać więcej rzeczy. Byli bezwzględni w przestrzeganiu wydanych zarządzeń i na każdy najmniejszy opór reagowali kolbami karabinów lub strzelali nie licząc się z niczym i nikim. Ukrywających się lub uciekających rozstrzeliwano na miejscu, gdyż nie było możliwości przedostania się poza pierścień obławy.

Tak sprawny przebieg akcji był możliwy dzięki uprzednio sporządzonym przez „Gestapo” listom mieszkańców i pewnym przygotowaniom poczynionym przez żandarmerię. Łącznie z naszej miejscowości wysiedlono 2629 osób pozostawiając na miejscu jedynie Rusinów i Volksdeutsche oraz kilka osób narodowości polskiej, niezbędnych dla dalszego funkcjonowania aparatu władzy niemieckiej na tym terenie (krawców, szewców, obsługi poczty i urzędników). Łącznie pozostało 420 osób.

Wieczorem na placu w strugach ulewnego deszczu zaczęto ładować zebranych mieszkańców do samochodów ciężarowych, w których oprócz kierowcy było po dwóch żołnierzy. Wywożono wszystkich do obozów – Zamościa, Zwierzyńca, Majdanka i stacji kolejowej w Bełżcu, obok żydowskiego obozu zagłady, gdzie znaleźliśmy się my. Tu trzymano nas przez dwie doby, po czym odesłano pociągiem do Zwierzyńca, będącego wcześniej obozem jeńców francuskich, w którym przebywało 320 jeńców. Stacja kolejowa była oddalona od obozu o około 5 km. Była to trasa ciężka do przebycia. Po wyjściu z wagonów ustawiono nas w kolumnę i ruszyliśmy do punktu docelowego. Starsi i niedołążni nie mogli nadążyć za kolumną. Padali ze zmęczenia. Nikt ich nie podnosił, bo niemieccy żołnierze poganiali. Tych, którzy nie nadążali szczuli psami lub rozstrzeliwali na miejscu. Kilka osób już wieczorową porą próbowało uciec w lesie, ale wówczas dosięgła ich seria z karabinów, względnie rozszarpywały ich psy.

Ze Zwierzyńca przetransportowano nas do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Wcześniej oddzielono od nas ojca, którego skierowano do sąsiedniego miejsca o jeszcze bardziej zaostrzonym rygorze. O warunkach życia obozowego w Zwierzyńcu i na Majdanku nie będę pisał, gdyż zagadnienie to jest powszechnie znane. Chcę tylko powiedzieć, że tutaj my i nasza mama zaczęliśmy chorować. Chodziliśmy bardzo głodni. Oprócz słabego wyżywienia problemem był brak naczyń do pobierania posiłków. Na porannych apelach, ciągnących się godzinami, za sąsiednimi drutami widzieliśmy naszego ojca. Na migi pokazywali, że jesteśmy głodni i prosiliśmy go o pomoc. Pewnego poranka, gdy zobaczył nas, pokazał nam dwie kromki chleba, które zawiązał w oberwany rękaw pasiaka obozowego i dołożył podjęty z ziemi kamyczek. Starał się to przerzucić na nasze pole. Jak słaby musiał

być już wtedy ojciec, skoro nie mógł przerzucić przez tak bliską odległość dwóch kromek chleba! Zrobiony przez niego węzełek zawisł na górnym drucie naszego pola. Zobaczyli to strażnicy obozu i złapali naszego ojca. Na rozłożonym stole na placu wymierzili mu 50 batów, co my obserwowaliśmy, a nasza mama liczyła, bo my jeszcze wtedy nie umieliśmy do tyłu policzyć. Ten węzełek z chlebem stał się w niedługim czasie tarczą strzelniczą dla strażników pilnujących obozu z wieży. Strzelali tak długo aż wszystko rozleciało się w drobne kawałki. Ciekły nam z oczu łzy z dwóch przyczyn – z powodu bicia naszego ojca oraz z bólu i żalu za zmarnowanymi kromkami chleba, którego tak potrzebowaliśmy. Mama prosiła, abyśmy starali się znieść to cierpienie z głodu i nie prosili o pomoc ojca, bo może go spotkać jeszcze gorsza kara. Nie mogliśmy wtedy tego zrozumieć. Czy może sobie ktoś wyobrazić cierpienie dziecka, które bezskutecznie prosi własnego ojca o pomoc? I ojca z drugiej strony, który widzi własne cierpiące dzieci i nie może temu zaradzić?

Po jakimś czasie pociągiem towarowym w zamkniętych wagonach przewieziono nas z Majdanka do III Rzeszy, do punktu zbornoego w Neumarku, na którym odnalazł się i nasz ojciec. Tutaj niemieccy bauerzy wybierali sobie spośród przybyłych osoby zdolne do pracy, potrzebne im w gospodarstwie. Starano się zabierać samotnych, zdrowych, silnych i młodych. Nasza rodzina została wybrana jako jedna z ostatnich. I tak następnie dotarliśmy koleją do Bawarii i zostaliśmy oddani do bauera do dworu w miejscowości Strasskirchen koło Regensburga, w pobliżu Straubingu. Tam moi rodzice pracowali w polu i obejściach przy obsłudze bydła, trzody chlewnej oraz pozostałych pracach niezbędnych dla potrzeb tego gospodarstwa, aż do kapitulacji III Rzeszy. Mieszkaliśmy w budynku znajdującym się w pobliżu dworu, przeznaczonym dla wyrobników polskich i niemieckich. Przebywała tam już polska rodzina, która rozpoczęła pracę jeszcze przed 1939 roku i wiele nam pomogła, przede wszystkim w porozumiewaniu się z Niemcami i tłumaczeniu zleczonych prac do wykonania. My, jako dzieci, nie pracowaliśmy, ale pozostawaliśmy sami w domu i nie miał się kto nami opiekować. Nasz gospodarz nie był dobrze nastawiony ani do rodziców ani do nas. Natomiast jego żona, wbrew mężowi, pod jego nieobecność starała się nam pomagać. W ukryciu, również przed innymi Niemcami, dożywiała nas, dawała owoce, mleko i pozostałe pożywienie z obiadu.

Do kraju powróciliśmy po kapitulacji III Rzeszy i wyzwoleniu nas przez Armię USA. Jechaliśmy we wrześniu 1945 roku poprzez punkt zborno w Regensburgu i dalej przez Pragę czeską. Losy mieszkańców naszego miasteczka były różne. Część zginęła w obozach Majdanka, Oświęcimia, Zamościa i Zwierzyńca. Z wywiezionych do Rzeszy zmarło 50 osób. Ta część, która powróciła po wyzwoleniu do swoich gospodarstw, zastała je spalone, zniszczone lub doszczętnie ograbione z wszystkiego, co było pozostawione wcześniej. Wielką była moja radość, gdy odnalazłem cztery króliki ukrywające się pod stodołą. Tylko tyle ich znalazłem spośród czterdziestu, które zostawiliśmy.

Późniejszą moją żonę Stanisławę i jej rodziców spotkał taki sam los, gdyż pochodzili z tej samej miejscowości co ja. Matka żony będąc już w Rzeszy nabawiła się choroby płuc i gruźlicy i wraz z chorymi dziećmi została odesłana do kraju, gdzie po powrocie zmarła. Pochowano ją – jak na ironię – w sąsiedztwie zastrzelonych 22 żołnierzy Wehrmachtu na cmentarzu w Tarnogrodzie, gdzie spoczywali przez 50 lat, do czasu gdy kości ich ekshumowano i przeniesiono na cmentarz wojenny do Przemyśla. Ojciec powrócił z Rzeszy jesienią 1945 roku i odnalazł swoje dzieci w sąsiedniej wiosce u obcych ludzi, gdyż na miejscu nie było się komu nimi zaopiekować. Ciężkie również były czasy po wyzwoleniu i kapitulacji Niemiec. Zniszczone lub spalone zabudowania, rozgrabione mienie, pozostawione odlegiem ziemie, brak narzędzi i maszyn, sprzętu do jej uprawy, brak materiału siewnego, głód, wycieńczenie organizmu i choroby powracających z obozów i III Rzeszy mieszkańców, często kalek – to „plon”, jaki niosła za sobą wojna.

Z okresu powojennego pragnę wspomnieć tylko o drobnych epizodach. Rok szkolny rozpoczęliśmy 1 października 1945 roku. Starsi zgrupowani zostali w dwóch klasach liczących 57 i 55 dzieci. Wychowawcami naszych klas były nauczycielki, których mężowie – nauczyciele zamordowani zostali na Rotundzie Zamojskiej w akcji „A-B”. Pamiętam, jak tłumaczyły nam zasady pisowni polskiej, że nazwy państw należy zawsze pisać dużymi literami. Dzieci, których rodzice zginęli podczas wojny w Niemczech czy obozie, robiły bardzo duży krzyk, zamiast pisać „Niemcy”, bo nie chciały używać dużej litery. Po raz pierwszy widziałem jak naszej nauczycielce popłynęły z oczu łzy. Wydała wtedy bardzo dobry moim zdaniem werdykt. Uznała, że ją obowiązują zasady i powinna ich przestrzegać, ale rozumie nas i dlatego dzieci, które nie chcą pisać z dużej litery z przyczyn doznanych krzywd, mogą nazwę tego państwa wziąć w nawias, co będzie dla niej oznaczało, że znają zasady pisowni i wtedy nie uzna tego za błąd.

W ramach pomocy UNRRA wydawano nam w szkole na długiej przerwie jako obowiązkowe lekarstwo jedną łyżkę tranu, a dopiero w następnej kolejce po jednym kubku mleka lub kakao. Każdy nauczyciel pilnował swej klasy, by nikt się z tej kolejki nie wyłamał. Jeśli któryś z nas starał się wymigać, to dostawał patykiem. To lekarstwo wielu z nas uratowało przed chorobami i ich następstwami.

Ponad 60 lat życia w pokoju zablizniło już wiele ran z tamtego okresu. Pozostały wspomnienia, które trzeba przekazać następnym pokoleniom, aby wystrzegali się wojen...